

Marian Hemar

Listopad

Listopad, proszę państwa jest miesiącem, który
Mniej zabawom a bardziej medytacjom sprzyja.
Każdy z nas, proszę państwa, choć raz musiał sobie
Zadać takie pytanie mniej lub bardziej skrycie:
Po co ja tutaj jestem? Co ja tutaj robię?
Jaki sens ma krótkie, ach, zbyt krótkie życie,
Jeśli nie ma być życiem przelotnego ptaka
Lub brzożowego listka.
Jaki cel w nim, jaka tajemnica?
I jakby w zawilej szaradzie:
Szukał tej odpowiedzi, zwłaszcza w listopadzie.
Po to mu przed oczyma – listek z drzewa opadł,
Ptak odleciał i słońce wystygło na niebie,
Po to być może w roku jest miesiąc listopad,
Aby człowiek mógł czasem tak spytać sam siebie,
Samo słowo listopad, dźwięk tego słowa
Mnie związał się na zawsze ze Lwowem – do Lwowa
Przenosi mnie tym żywiej, skwapliwiej i chyżej
Im dalej moja młodość i starość im bliżej
Prowadzi mnie za rękę i szepce: pamiętasz?
To tu gdzie kiedyś rosły brzozy łyżakowskie –
To wzgórze zaorane, tu był kiedyś cmentarz
Lwowskich dzieci – tu leży samo serce lwowskie.
Liście chrzestczą. Bieleje brzoż widmowa kora.
Drzewa we mgle wracają na czarne pustkowie.
Listopad dla Polaków niebezpieczna pora –
Listopad nie pozwala zapomnieć o Lwowie...
Listopad mnie tą rzewną obarczył robotą.

To on w poszumie deszczu i w liście szeleście
Podszeptną mi, że ja tu jestem tylko po to

By pamiętać, pamiętać o mieście – zdradzonym
I cień jego w piosenkę zaklinać –
I w wiersze je zaplatać, melodią rozniecić
I jeśli kto zapomniał – to mu przypominać
I jeśli kto nie widzi – to mu w oczy świecić –
I tych co już nie tęsknią – tęsknoty nauczać,
I tych którzy nie wiedzą – do tej wiedzy zmuszać,
Tym, co nie chcą pamiętać – pamięcią dokuczać.
I tych co już nie płaczą – znowu do łez wzruszać.
Jest na ziemi czas wiosny i jest czas jesieni –
Jest, jak kiedyś powiedział pięknie ecclezzjasta
Czas zbierania kamieni i siewu kamieni.
Czas kwiatu kiedy więdnie i czas gdy wzrasta,
I jest czas gdyśmy z naszym miastem rozłączeni –
I będzie czas powrotu do naszego miasta.
Co znaczą dni, tygodnie, lata i miesiące,
Gdy potem wierna miłość kres kładzie rozłącze.
Z drzewa dziś za mym oknem liść ostatni opadł
Słońce we mgle przybladło, deszcz sennym szelestem szumi
I taką dał mi londyński listopad
Odpowiedź na pytanie moje po co jestem?
Po to, aby zwątpieniu nie dać się opętać –
Po to, by o nic nie dbać i na nic nie zważać,
A o Lwowie: pamiętać, pamiętać, pamiętać –
I to jedno powtarzać, powtarzać, powtarzać!

Czekamy w dalszym ciągu na materiały od Państwa, o mało znanych wydarzeniach z przeszłości, o faktach i ludziach, które powinny być zachowane dla potomnych. Czekamy również na relacje o dniu dzisiejszym na Podolu, wiemy bowiem, iż wiele osób podróżuje tam do różnych miejscowości.

Irena Kotowicz

Warszawa

TAMTEN WRZESIEŃ

Cz. II

Przed agresją 17 września

Niepomyślny rozwój sytuacji na froncie polsko-nie-mieckim sprawił, że Naczelny Wódz marszałek Edward Rydz-Śmigły podjął we Włodzimierzu Wołyńskim 13 września decyzję o przygotowaniu do obrony tzw. przedmościa rumuńskiego. Zamierzano bronić linii od granicy rumuńskiej w rejonie Horodenki – Dniestr poprzez Niżniów – Halicz – Żydaczów, skąd planowano przejście na rz. Stryj do Synowódzka i oparcie lewego skrzydła w Karpatach. Jednakże dzień później w Naczelnym Dowództwie przychylnono się do koncepcji przedmościa zmniejszonego. Odcinek rz. Dniestr do Halicza miał pozostać bez zmian, a skróceniu ulec miało lewe skrzydło obrony.

14 września Naczelne Dowództwo przybyło do Kołomyi i natychmiast przystąpiono do organizowania przedmościa. Powołano nową Armię “Karpaty”, która miała bronić tego obszaru. Płk dypl. Józef Jaklicz do późnej nocy z 16/17 września pracował nad zestawieniem sił, które mogły dotrzeć na przedmoście. Zaopatrzenie w amunicję, materiały pędne i żywność miało się opierać na dostawach z Rumunii.

Płk Jaklicz sądził, że Naczelnemu Wodzowi uda się jednak opanować ciężką sytuację i oddziały polskie będą skutecznie bronić przedmościa do czasu ofensywy alianckiej na zachodzie. Miała ona nastąpić 17 września. Ale już 12 września alianci zdecydowali o jej odwołaniu, **o czym jednak nie powiadomili ani polskiego Naczelnego Dowództwa, ani polskiego rządu. Nie wiedział o tym również szef francuskiej misji wojskowej w Polsce.**

Płk dypl. Stanisław Kopański – szef Oddz. Operacyjnego Sztabu NW tak wspomina ówczesną sytuację: “Ogólna ocena sytuacji w tym dniu (tj. 16 września) zdawała się wskazywać na możliwość zorganizowania oporu na “przyczółku rumuńskim” i dalszego prowadzenia walki”

Co na to wskazywało?

– Sukces gen. Sosnkowskiego nad Wereszycą, który musiał w znacznym stopniu paraliżować swobodę ruchów wielkich niemieckich jednostek pancernych w południowej części frontu, jaka najbardziej zagrażała bezpośrednio organizującej się obronie na Strypie i Dniestrze.

– Na całym froncie obserwowano od kilku dni zwolnienie tempa marszu wielkich jednostek pancernych wroga. W wielu miejscowościach czołgi i samochody pancerne stały beczynnie z powodu braku benzyny. Można, więc było przypuszczać, że nie potrafią one skutecznie zamknąć drogi spływającym już na południe wojskom polskim, tym bardziej, że piechota niemiecka pozostawała w większości daleko w tyle za wielkimi jednostkami szybkimi.

– Największym niebezpieczeństwem dla realizacji planu Nacz. Wodza było nieprzyjacielskie lotnictwo. Według posiadanych wiadomości Niemcy pozostawili na zachodzie kraju zaledwie 11 wielkich jednostek, nieznaną bliżej ilość wojsk rezerwy i Landwehrę. Przy tak słabej obsadzie musieliby z chwilą rozpoczęcia ofensywy przez aliantów **natychmiast przerzucić** spore siły na zachód, by nie dopuścić do przekroczenia linii Zygfryda, a w pierwszej kolejności lotnictwo bombowe.

Według takiego rozpoznania, całość sytuacji wskazywała, że plan dalszego prowadzenia walki przez Polaków w oparciu o południowo – wschodnią część Małopolski miała szansę realizacji.

16 września wojska polskie broniły się mniej więcej na linii **Augustów – Sokółka – Hajnówka - Brześć n. Bugiem – Kobryń – Lwów – Drohobycz - Borysławskie Zagłębie Naftowe**. Walczyło jeszcze około 600.000 żołnierzy. Oddziały we wschodniej części kraju posiadały co najmniej 70 czołgów i samochodów pancernych, 3 pancerne pociągi, ponad 160 samolotów, około 300 dział, 95 armat plot., 100 armat ppanc.

Przygotowania Armii Czerwonej do agresji.

Oddziały Armii Czerwonej zostały na użytek wrześniowej agresji na Polskę zorganizowane w dwa fronty: Białoruski i Ukraiński. Dowódcą tego drugiego był komandarm I stopnia Siemion Timoszenko, a szefem Sztabu komdiw Nikołaj Watusin.

Front ukraiński składał się z 5, 6 i 12 Armii, 15 Samodzielnego Korpusu Strzelców, oddziałów frontowych i lotnictwa.

5-ta Armia i 15 Samodzielny Korpus Strzelców miały opanować południowe Polesie i Wołyń. Zaś 6-ta Armia, posiadająca 490 opancerzonych wozów bojowych – Tarnopol i Lwów, a do wieczora 18 września miała zająć Busk i Przemyślany. 12-ta Armia, utworzona na początku września jako szybka grupa frontowa, otrzymała zadanie szybkiego opanowania Podola i Pokucia, a następnie rozwijania operacji w kierunku Stryj – Sambor – Przemyśl i osiągnięcia górnego Sanu oraz polskiej granicy w Karpatach. Do 18 września miała zająć Stanisławów. Na swoim wyposażeniu posiadała aż 1420 wozów bojowych.

Działania sowieckich wojsk operacyjnych wspierać miały oddziały Wojsk Ochrony Pogranicza podporządkowane NKWD, dostarczające przewodników oraz atakujące w rejonach, w których nie przewidywano akcji jednostek Armii.

Łącznie nad granicą Rzeczypospolitej znalazły się 2 Korpusy Pancerne i 9 samodzielnych Brygad Pancernych, 14 dywizji Kawalerii oraz 31 – 39 Dywizji Piechoty. Razem więc 60 – 69 wielkich jednostek wojskowych. Do tego dochodziły formacje korpuśne, armijne i frontowe, Wojska Ochrony Pogranicza itp. Siły te liczyły 600 – 650 tysięcy żołnierzy w formacjach operacyjnych, a łącznie z różnymi służbami 900 – 950 tysięcy ludzi. Posiadały: 5.200 – 5.300 czołgów i samochodów pancernych, około 4.300 – 4.500 dział polowych i haubic oraz 1000 samolotów.

Dla porównania – Niemcy rzucili na Polskę: około 2.800 wozów bojowych, 10.000 dział i moździerzy i około 2.100 samolotów.

A jednocześnie do połowy października kontynuowana była w ZSRR mobilizacja i koncentracja dalszych wielkich jednostek poza Kijowskim i Białoruskim Specjalnym Okręgiem Wojskowym, co pozwalało w dowolnej chwili zwiększyć siły sowieckie działające na terenie Polski.

W tym czasie, 1412 kilometrowej granicy z ZSRR strzegło łącznie 12 baonów i 6 szwadronów KOP, tj. około 10 żołnierzy na 1 km granicy.

17 września 1939 r. o godz. 3-ciej wojska Armii Czerwonej zaatakowały strażnice KOP-u na całej długości polsko-sowieckiej granicy.

Naczelne Dowództwo i Rząd Polski w dniu 17 września 1939 r.

Pierwsze informacje o agresji ze wschodu odebrał oficer dyżurny Oddziału Specjalnego Sztabu Naczelnego Wodza przed godz. 6-tą. Podał ją z Czortkowa d-ca pułku KOP ppłk Marcei Kotarba w formie ogólnikowej. Wkrótce napływać zaczęły dalsze meldunki.

Szef Sztabu Naczelnego Wodza, gen. Waław Stachiewicz tak wspomina to wydarzenie:

“Wiadomość ta była zupełnym zaskoczeniem tak dla Naczelnego Dowództwa, jak i Rządu. Wprawdzie od szeregu dni napływały wiadomości o koncentracji wojsk sowieckich nad granicą, było to jednak uważane za naturalne następstwo zbliżającej się wojny do wschodnich granic Polski. Do ostatniej chwili nasz rząd otrzymywał uspakajające oświadczenia ze strony sowieckiej. Wstrząs wywołany tą wiadomością był tym silniejszy, że nastąpił po względnie pomyślnych wiadomościach poprzedniego dnia, według których można było liczyć, że będziemy mieli kilka dni czasu na zorganizowanie obrony w południowo-wschodnim cyplu Małopolski Wsch., na tzw. przyczółku rumuńskim. Przekroczenie przez sowietów granicy polskiej obaliło z miejsca wszelkie nadzieje na tę ostatnią możliwość naszego utrzymania się we Wschodniej Małopolsce i kontynuowania walki na terenie kraju. Nie znajduję słów, które by oddały nastrój przygnębienia, jaki zapanował. Ani Naczelny Wódz, ani nikt z oficerów Sztabu nie miał najmniejszych wątpliwości co do charakteru, w jakim Sowiety wkroczyły do Polski. Było dla nas jasne, że dostaliśmy podstępnie nóż w plecy, który przesądził ostatecznie o losach kampanii i niweczył ostatnią nadzieję prowadzenia zorganizowanej walki na terenie Polski [...] Ten cios **stawiał nagle** najwyższe władze państwa i Naczelnego Wodza **przed koniecznością natychmiastowej decyzji państwowego znaczenia. Każda godzina zwłoki [...] w wydaniu zarządzeń zwiększała dezorientację i zamieszanie w terenie.** Każda godzina zwłoki mogła pociągnąć za sobą groźne następstwa nie tylko wojskowe, ale i ogólnopaństwowe.”

Potwierdził powyższe zastępca gen. Stachiewicza – płk dypl. J. Jaklicz “Wkroczenie bolszewików do Polski zaskoczyło Nacz. Dowództwo. [...] Cały układ sił polskich nastawiony był na wojnę z Niemcami. Granica sowiecka strzeżona raczej policyjnie niż wojskowo, stała otworem dla wojsk sowieckich. Na wkroczenie bolszewików nie było wojskowej odpowiedzi. Tragizm tej rzeczywistości powiększało odosobnienie Naczelnego Dowództwa. Wynikało ono z chwilowo wytworzonego położenia, w którym wydane rozkazy dotarwszy do podkomendnych, zaczęły być zaledwie wykonywane [...] Nie było na miejscu jednostek, które mogłyby stworzyć – na nagle wyrosłym nowym froncie – jaką taką choćby zaporę na Dniestrze, aby dać czas na zorientowanie się w położeniu ogólnym, zebranie elementów i powzięcie decyzji. Pancerne oddziały sowieckie mogły równie dobrze wkroczyć do Kołomyi o godz. 10-tej jak i 20-tej. Zależało to tylko od szybkości ich motorów.”

Po przybyciu marszałka Rydza-Śmigłego ze swej kwatery do Sztabu – w pierwszym momencie spontaniczną reakcją na otrzymane wiadomości był odruch – bić się z Sowietami. Po prostu trudno było pogodzić się z myślą żeby nowy agresor bez oporu zajmował nasz kraj, żeby [...] zdradziecki jego czyn pozostał bez zbrojnej odpowiedzi z naszej strony.

Zgodnie z tą decyzją poszły pierwsze rozkazy do wojsk, z którymi posiadano kontakt. O godz. 8¹⁵ nadany został telefonicznie rozkaz do **d-cy Armii “Karpaty”** gen. dyw. Kazimierza Fabrycego (w Stanisławowie), a pośrednio dla gen. bryg. Aleksandra Narbutt-Łuczyńskiego (w Tarnopolu) i gen. bryg. Bolesława Jatelnickiego (w Mikulińcach). Zorientowano ich w zaistniałej sytuacji, informując o ruchach wojsk sowieckich i o wycofywaniu się KOP na Podolu. Oddziały znajdujące się nad rz. Seret, a podlegające dwóm ostatnim generałom, miały stawiać nieprzyjacielowi opór na linii tej rzeki. Inne oddziały, szczególnie gros kadry oficerskiej i podoficerskiej znajdujące się w Tarnopolu, powinien był przejść za Dniestr.

Okolo godz. 9-ej zredagowano (nadana o 10¹⁷) radiodepeszę szefa Sztabu NW do dowódcy obrony Polesia – gen. bryg. Franciszka Kleeberga w Pińsku, z wiadomością o przekroczeniu granicy przez wojska sowieckie.

Między godz. 8 a 9 na przeprawę przez Dniestr w Uściczku został wysłany oficer oddz. III Sztabu NW kpt. dypl. Waclaw Chocianowicz. Gen. Stachewicz polecił mu nawiązać kontakt z Sowietami i dowiedzieć się, w jakim charakterze ich wojska wkroczyły na teren Rzeczypospolitej.

Między godz. 9 a 10 odebrano z Tarnopola zapytanie dowodzącego w rejonie Lucka gen. bryg. Piotra Skuratowicza, jak należy zachować się wobec Armii Czerwonej. Otrzymał on rozkaz odwrotu na Busk i powiadomienie gen. bryg. Kazimierza Sawickiego, (d-cy Grupy “Włodzimierz”) o zaistniałej sytuacji.

W Naczelnym Dowództwie przeważał pogląd, że agresja sowiecka przekreśla możliwości dalszego oporu. Na czyjeś odezwanie się “musimy tutaj zginąć”, marszałek odpowiedział: “Ale co Polsce z tego przyjdzie? Będziemy formować wojsko we Francji. Trzeba się bić dalej. Ci oficerowie, co tu są – to cenna kadra, niezbędna dla tych celów.”

Marszałek porozumiał się z premierem (gen. dyw. Sławojem Składkowskim) i ministrem spr. zagr. Józefem Beckiem i ustalili, że o godz. 11-tej wszyscy trzej odbędą naradę w Kwaterze Głównej Naczelnego Wodza w Kołomyi.

“Zaczęły nadchodzić coraz to nowe alarmujące wiadomości z różnych oddziałów KOP, lokalnych dowództw wojskowych, władz administracyjnych, policji itp.

Telefony się urywały. Dezorientacja w terenie była zupełna na skutek zachowania się żołnierzy sowieckich, którzy – jak brzmiały meldunki – na ogół nie strzelają do naszych, demonstrują przychylność, częstują papierosami itp. mówiąc, że przychodzą pomóc przeciwko Niemcom. Jedne oddziały meldują, że się bronią, inne odchodzą pod naciskiem ostrzeliwując sowieciarzy, inne nie wiedzą w ogóle co robić i jak odnieść się do Sowietów. A wszyscy urgują o jak najszybsze rozkazy.”

Wojsko jest zdezorientowane, poszczególne oddziały KOP działają zależnie od indywidualności dowódców. Jedne stawiają zacięty opór, inne przepuszczają wojska bolszewickie, które wymijają je i idą dalej.

“W umyśle Nacz. Wodza zaczęła rysować się nowa koncepcja działania, – pisze w swojej relacji gen. Stachiewicz. – Szybko jednak nastąpiła refleksja: Czym się bić? Całość wojsk [...] związana ciężkimi walkami odwrotowymi (z Niemcami). Granicę sowiecką dozorowały jedynie słabe oddziały KOP, za którymi znajdowały się różne luźne formacje tyłowe, dowództwa lokalne i wyewakuowane z zachodnich części Polski. Walki tymi wojskami prowadzić było niemożliwym. A zresztą, w jakim celu? Wobec masowej inwazji sowieckiej walka taka żadnego konkretnego efektu dać nie mogła. Chodzić mogło tylko (...) o zbrojną demonstrację, protest wobec świata wobec podstępnej agresji drugiego wroga. A protestem tym były strzały cofających się oddziałów KOP przeciwko czołowym oddziałom najeźdźcy. Poza to Naczelnny Wódz nie chciał wchodzić, widząc niemożność i bezcelowość jakiegokolwiek walki z Sowietami, **w tych warunkach.**

Walki z Niemcami nie uważał jednak za zakończoną mimo, że dalsze prowadzenie zorganizowanego oporu na terenie Polski – wskutek agresji sowieckiej – stało się już niemożliwe. **Zawsze uważał, że walka Polski z Niemcami jest tylko wstępem do wojny, pierwszą fazą ogólnej wojny koalicyjnej państw zachodnich i Polski z Niemcami i tylko w takiej oczekiwał ostatecznego zwycięstwa.** I w związku z tym uważał, że walczyć z Sowietami należy tylko w razie natarcia z ich strony lub próby rozbijania naszych oddziałów. Natomiast fakt, że oddziały sowieckie dotychczas na ogół nie atakują naszych wojsk, powinno być wykorzystane do odejścia do Rumunii lub na Węgry.

I jedynie oddziałom KOP cofającym się znad Zbrucza oraz oddziałom wojska znajdującym się w rejonie Seretu nakazał stawianie oporu na linii tej rzeki. Słabe zaś kompanie etapowe, pilnujące przepraw na Dniestrze, miały zniszczyć mosty.

Naczelnny Wódz zdawał sobie sprawę, że ten opór wiele nie da, ale to było wszystko, co można było zrobić by uzyskać trochę czasu. Tu bowiem schodziły się

ściągane z północy oddziały wojsk i transporty, którymi uprzednio chciano zorganizować obronne “przedmoście”, tu znajdowały się naczelne władze państwowe i wojskowe, ewakuowane różne władze administracyjne itp. Toteż można się było spodziewać, że zmotoryzowane oddziały sowieckie, przekroczywszy Zbrucz o świcie, zajmą ten teren w ciągu tego samego dnia, odcinając wszelkie połączenia z Rumunią.”

Po rozmowie w Sztapie ostateczną decyzję podjąć miał Nacz. Wódz po naradzie z premierem i ministrem spr. zagr. Narada trwała około 45 minut. Jej wyniki nie są znane. Relacje gen. Składkowskiego i min. Becka różnią się zasadniczo. Według premiera stanowiska zostały uzgodnione i podjęto decyzje, które miały być przedstawione do aprobaty Prezydentowi RP Ignacemu Mościckiemu. W czasie narady **podobno** nadeszły wiadomości o przekroczeniu Dniestru przez Sowietów. Natomiast min. Beck twierdził, że do uzgodnienia decyzji nie doszło. Nie wspomina też o sforsowaniu Dniestru przez nieprzyjaciela. Podkreślił, że Nacz. Wódz w żadnym razie nie miał zamiaru wyjeżdżać z Kołomyi przed zapadnięciem nocy.

Bezpośrednio po owej naradzie marsz. Rydz-Śmigły rozmawiał z gen. Stachiewiczem i poinformował go, że postanowiono zwolnić rząd Rumunii z sojuszniczego obowiązku wypowiedzenia wojny ZSRR, zażądać natomiast zgody na przepuszczenie rządu polskiego i wojska przez Rumunię do Francji. A w razie podejścia wojsk sowieckich należało pertraktować z nimi o przepuszczenie, w stosunku zaś do Niemców zachować dotychczasową postawę.

Po godz. 12-tej rozszyfrowano w Sztapie NW częściowo zniekształconą depeczę, że d-ca OK II gen. bryg. Mieczysław Smorawiński zakazał walki z wkraczającymi oddziałami Czerwonej Armii (napastnicy ponoć nie strzelali do polskich żołnierzy). Pół godziny później otrzymano informację (chyba jednak fałszywą) o sforsowaniu Dniestru przez Sowietów między Uścierzkiem, a granicą rumuńską.

W Kołomyi właściwie żadnych wojsk nie było i droga do miasta, jak i do Kut była otwarta. Nacz. Wódz Postanowił w tej sytuacji przenieść niezwłocznie swoją Kwaterę Główną do Kosowa Huculskiego. Odbyło się coś w rodzaju odprawy, w której udział wzięło 56 najstarszych dowódców i szefów Nacz. D-ctwa.

“Odprawę tę pamiętam dokładnie – pisze płk dypl. Józef Wiatr, ponieważ jako Naczelnny Kwatermistrz musiałem na jej podstawie wydać rozkazy w sprawie sforsowania kolumny marszowej. Nacz. Wódz [...] podał nam do wiadomości swoją decyzję przejścia wraz z Kwaterą Główną granicy rumuńskiej, by przez port w Con-

stanzy dostać się do Francji dla kontynuowania tam wojny. Później przedstawił nam szeroko motywy swojej decyzji, identyczne z [...] zawartymi w jego relacji [...]. W końcu wydał rozkaz sformowania kolumny marszowej [...]. Miała być sformowana przed zapadnięciem zmroku. Samo jednak przejście granicy miało nastąpić dopiero na wyraźny rozkaz Nacz. Wodza, który miał być wydany po stwierdzeniu bezpośredniego naporu nieprzyjaciela.

– Na zapytanie [...] czy mamy zapewniony swobodny przejazd przez Rumunię, Nacz. Wódz odpowiedział, że przed chwilą rozmawiał z min. Beckiem, który zapewnił go, że zarówno nasz przejazd, jak i załadowanie w Constazy nie napotkają ze strony Rumunów na żadne trudności.

– Gen. Stachiewicz zwrócił się do Nacz. Wodza z prośbą o zezwolenie mu na powrót do Warszawy. Chciał wrócić samolotem bombowym “Łoś”, który podobno był do dyspozycji. (...) Nacz. Wódz odpowiedział mniej więcej w te słowa: “Przecież pan wie, że jedziemy do Francji prowadzić dalej wojnę, że będziemy tam odtwarzać siły zbrojne i że pan, generale, w tej pracy będzie potrzebny, dlatego nie mogę zgodzić się na pański powrót do Warszawy.”

Naczelnym D-ca Łączności (płk dypl. Heliodor Cepa) tak wspomina tę odprawę: “Dyskusja toczy się prawie wyłącznie pomiędzy Marszałkiem [...] i Szefem Sztabu. Przedmiotem dyskusji jest zajęcie stanowiska wobec napierających bolszewików. Gen. Stachiewicz jest zwolennikiem oporu, obrony większych środowisk, a zwłaszcza Lwowa. Marszałek Śmigły zajmuje stanowiska odmienne, wskazując, że opór jest bezcelowy, narazi nasze słabe oddziały na straty, a ludność cywilną na dotkliwą represję. Zostały wydane rozkazy ściągania oddziałów w kierunku granicy rumuńskiej. Na tej odprawie spotkałem się po raz pierwszy ze wzmianką o ewentualnym przekroczeniu z wojskiem granicy rumuńskiej, przy czym odnosiło się wrażenie, jakoby sprawa ta była z góry uregulowana z rządem rumuńskim i państwami sprzymierzonymi w tym sensie, że przekroczymy granicę by walczyć nadal, a nie po to, by rozbrojeni powędrować do obozów.”

Wspomniana odprawa była ostatnim osobistym zetknięciem się Nacz. Wodza z Szefem Sztabu oraz Sztabem jako całością. Między godz. 13 a 14 marszałek udał się do Kosowa, a stamtąd do Kut na naradę z prezydentem Mościckim. Gen. Stachiewicz pozostał z kilkoma oficerami w Kołomyi dla utrzymania łączności z wojskami w kraju i przekazania im rozkazów. W szczególności należało nawiązać kontakt z gen. Sosnkowskim i nakazać mu natychmiastowy odwrót do Rumunii lub na Węgry. Po wykonaniu tych zadań miał dołączyć do Nacz. wodza w Kosowie. Nato-

miast gros Sztabu Nacz. Wodza opuściło Kołomyję między godz. 14 a 15 i udało się do Kosowa.

Ok. godz. 16 w kwaterze min. Becka w Kutach odbyła się narada z udziałem prezydenta, premiera, Nacz. Wodza i min. spr. zagranicznych. Jak poprzednio, tak i tu, występują wyraźne różnice w relacjach gen. Składkowskiego i min. Becka. Jednakże na naradzie tej ustalono, że najwyższe władze państwowe w razie zagrożenia przejdą na teren Rumunii. Dotyczyło to także osoby Nacz. Wodza, który po naradzie powrócił do Kosowa.

Tymczasem Sztab dotarł do Kosowa z zastępcą szefa Sztabu i zameldował się u Nacz. Wodza. [...] Sztab miał pozostać w pogotowiu marszowym. Przekroczenie granicy miało mieć miejsce w ostatniej chwili.

Płk dypl. Jaklicz był przekonany, że może to nastąpić po przekroczeniu przez Sowieców rz. Prut, na której znajdowały się trzy drogowe mosty: w Kołomyi, Zabłotowie i Śniatyniu, których drogi zbiegały się w Kosowie. Pułkownik liczył, że przekroczenie granicy rumuńskiej nastąpi najwcześniej przed południem lub dopiero w nocy z 18 na 19 września.

Marszałek Rydz-Śmigły był w rozterce, nie mógł zdecydować się na przekroczenie granicy. Powiadomił premiera, że zamierza pozostać w kraju w celu dołączenia do Grupy "Stryj" gen. Dembińskiego. Gen. Składkowski i płk Jaklicz w osobistych rozmowach (w godzinach wieczornych między 20⁰⁰ – 21⁰⁰) nakłaniali go do zmiany decyzji. W tym czasie gen. Składkowski otrzymał informację od starosty śniatyńskiego (jak się później okazało fałszywą), że miasto zajmuje Armia Czerwona. (Odległość między Kosowem a Śniatynem wynosiła niespełna 40 km). Wobec bezpośredniego już – jak się wydawało – zagrożenia, Nacz. Wódz podjął ostateczną decyzję przejścia granicy w nocy z 17 na 18 września. Sztab otrzymał polecenie natychmiastowego odjazdu, a płk dypl. Jaklicz razem z personelem oddziału operacyjnego Sztabu Nacz. Wodza miał czekać na marszałka przed wjazdem na most na granicznym Czeremoszu.

Między godz. 20³⁰ a 21³⁰ Marszałek i gen. Składkowski, jak i większość Sztabu, opuścili Kosów. W tylnym rzucie Sztabu w Kołomyi przystąpiono bezzwłocznie do redagowania zasadniczego rozkazu dla Armii i mniejszych ugrupowań wojskowych.

Gen. Stachiewicz zdołał porozumieć się z d-cą obszaru tyłowego na Podolu – gen. Jatelnickim – któremu nakazał wycofanie wojska na Rumunię. Ten rozkaz przekazał także Armii "Karpaty" oraz d-cy Grupy "Stryj". Za pośrednictwem załogi

53 Eskadry obserwacyjnej wysłał także rozkazy do gen. Skuratowicza (prawdopodobnie do niego nie dotarły).

Wcześniej (około godz. 16-tej) przeprowadził rozmowę z płk dypl. Rudką i gen. Paszkiewiczem. Jej najistotniejszy fragment brzmiał: “Nakazuję [...] wycofanie odwodów i sprzętu na Rumunię względnie Węgry. Bolszewicy jak dotąd nie atakują nas, twierdząc, że idą przeciwko Niemcom. W to oczywiście wierzyć nie można, ale Nacz. Wódz chce wykorzystać okres, w którym oni nas nie atakują, aby jak najwięcej wojska i sprzętu ściągnąć do Rumunii, w drugiej kolejności na Węgry. Jeśli chodzi o wojska gen. Dembińskiego (Armia “Karpaty”) to powinny one tak długo pozostać na miejscu, by ułatwić gen. Sosnkowskiemu, z którym za wszelką cenę musicie złapać łączność, wycofanie się na Węgry. Równocześnie nie powinny one przepuścić wojsk niemieckich w kierunku na Stanisławów – Kołomyję. A po dołączeniu gen. Sosnkowskiego razem z nim przejść na Węgry.

Co się tyczy armii idących z północy, gen. Szyllinga – na Lwów, gen. Piskora i gen. Dęba – na wschód od Lwowa, wskazanym byłoby, aby ułatwić im marsz na południe. Jednak nie wiadomo w obecnej chwili jak rozwinie się sytuacja z Sowietami. Jeżeli byłoby dalej tak jak teraz, to będą maszerowali w tamtym kierunku co całość, i w tym wypadku chodziłoby tylko o przesłonięcie ich od strony Niemców. Jednakże nie można zbyt długo zatrzymywać gen. Sosnkowskiego, gdyż dojście tamtych naszych armii jest problematyczne, a panu marszałkowi chodzi o to, żeby przynajmniej grupę gen. Sosnkowskiego wraz z wojskami znajdującymi się w tym rejonie wyprowadzić w jak najlepszym stanie. Lwów broni się przed Niemcami dalej. W stosunku do oddziałów sowieckich ogólną dyrektywą jest, że my z nimi bić się nie zaczynamy i walczyć musimy tylko w wypadku, o ile oni będą nacierali, czego do tej pory nie ma.”

W ciągu następnych kilku godzin do gen. Stachewicza napłynęło wiele meldunków, między innymi od gen. Skuratowicza i gen. Franciszka Kleeberga. Dowiedział się także, że wojska gen. Sosnkowskiego kierują się nie na “przyczółek rumuński”, ale na Lwów.

Wkrótce po godz. 20-tej szef Sztabu przeprowadził rozmowę telefoniczną z marszałkiem Rydzem-Śmigłym. Marszałek poinformował go, że Rumuni zapewniają przejazd przez ich kraj i nakazał przyspieszenie odchodzenia oddziałów za granicę. Gen. Stachewicz zaraz po wydaniu rozkazów miał zlikwidować tyłowy rzut Sztabu w Kołomyi i przyjechać do Kosowa.

Wojska gen. Sosnkowskiego szły na Lwów, wobec czego Grupa "Stryj" powinna była pójść na Węgry, nie czekając na przybycie jego oddziałów.

W tym czasie napłynął do Sztabu meldunek, że czołgi sowieckie zajęły Zabłotów, (20 km od Kołomyi i Kut) i kierują się na Kołomyję. Gen. Stachiewicz rozkazał: przetelefonować natychmiast ten meldunek do Kosowa i Kut, a dojazdy do budynku, w którym pracował, zabarykadować, aby nie dać się zaskoczyć czołgom.

Między godz. 21³⁰ a 21⁴⁰ nadany został przez radio rozkaz Nacz. Wodza: "Sowiety wkroczyły. Nakazuję ogólne wycofanie się na Rumunię i Węgry najkrótszymi drogami. Z bolszewikami nie walczyć, chyba w razie natarcia z ich strony, albo próby rozbrojenia oddziałów. Zadanie Warszawy i miast, które miały bronić się przed Niemcami – bez zmian. Miasta, do których podejda bolszewicy, powinny pertraktować z nimi w sprawie wyjścia garnizonów na Węgry lub do Rumunii." [...] "Paniczna i niesprawdzona wiadomość starosty ze Śniatyna wczesnym popołudniem 17.09 o tym, że bolszewicy zajmują miasto spowodowała, że ewakuacja rządu polskiego i Naczelnego Wodza do Rumunii nastąpiła przedwcześnie".

Śniatyn i Kołomyja zajęte zostały najwcześniej 18.09, a prawdopodobnie dopiero 19.09, Kut zaś 20 września.

Z 17 na 18 września przekroczyli nocą granicę Rumunii: prezydent RP, rząd i Nacz. Wódz, a o godz. 2²⁶ gros jego Sztabu.

Dłużej pozostał w kraju tylny rzut Sztabu z gen. Stachiewiczem, który wydawał ostatnie rozkazy w sprawie wycofania wojsk za granicę. Szczególnie niepokoiła go sprawa doręczenia rozkazu płk dypl. Stanisławowi Maczkowi, który z 10 Brygadą Kawalerii Zmotoryzowanej przejeżdżał z rejonu Lwowa do Stanisławowa, gdzie Brygada miała wejść w skład obsady "przyczółka". Ponieważ nieznana była droga marszu jego oddziałów, nie można było doręczyć mu rozkazów przejścia na Węgry. Rozkaz ten doręczył płk Maczkowi pozostawiony w Stanisławowie płk dypl. Rudka. Za wszelką cenę starano się też nawiązać kontakt z gen Sosnkowskim.

Między godz. 22 a 23-cią płk dypl. Z. Wenda powiadomił szefa Sztabu, że marszałek Rydz-Śmigły przekroczy niebawem granicę Rumunii i, że z jego rozkazu generał ma opuścić Kołomyję, by do niego dołączyć.

Okolo północy tylny rzut Sztabu wyjechał z miasta. W Kosowie nie zastano już Kwatery Głównej. Wobec olbrzymiego zatoru na drodze z Kosowa, przedostawano się do Kut bocznymi drogami. W Kutach znaleźli się 18 września około godz. 6-tej rano i zakwaterowali w jednym z domów w pobliżu mostu na Czeremoszu.

Nawiązano łączność telefoniczną z Horodenką, Śniatynem, Kołomyją, Kosowem i na krótko ze Stanisławowem. Uzyskano informację o zajęciu przez nieprzyjaciela Kołomyi i Horodenki. Pozostałe miejscowości były jeszcze wolne. Wszystkie transporty, jakie znalazły się w rejonie Śniatyna, zostały skierowane telefonicznie do Rumunii.

Gen. Stachiewicz uważał, iż należy jak najdłużej pozostać na własnym terytorium i utrzymywać kontakt z jednostkami walczącymi w głębi kraju, miało to bowiem duże znaczenie polityczne. Sądził, iż marszałek znajduje się w pobliżu granicy, i chciał nawiązać z nim kontakt, by przekazywać mu raporty i odbierać od niego instrukcje. W tym celu wysłał do Rumunii kpt. dypl. Chocianowicza.

W Storożyńcu na terenie Rumunii obaj oficerowie natknęli się na większą część oficerów Sztabu Nacz. Wodza. Wysłannik gen. Stachiewicza ocenił, że nie ma żadnych szans dotarcia do Marszałka, ani utrzymania posterunku w Kutach, po czym wyruszył w drogę powrotną. Tymczasem (nie później niż o godz. 15-tej) nadszedł drogą telefoniczną z Czerniowiec rozkaz Naczelnego Wodza, nakazujący szefowi Sztabu przekroczenie granicy z resztą oficerów.

W godzinach popołudniowych zaczęły napływać wiadomości o zajęciu Horodenki, Kołomyi i Kosowa. "Wobec tego postanowiłem – pisze gen. Stachiewicz – przejechać granicę. Pozostawiłem w Kutach mjra dypl. Piątkowskiego jako lokalnego komendanta dla regulowania odpływu nadchodzących grup żołnierzy."

Wieczorem lub nawet w nocy z 18/19 września pozostała część Sztabu NW opuściła kraj. Do odjeżdżających dołączył przybyły z Rumuni kpt. Chocianowicz.

Taka była chronologia wydarzeń wywołanych agresją Sowietów w dniu 17 września 1939 r.

Bibliografia:

- 1) Wiktor Krzysztof Cygan *Kresy w ogniu. Wojna polsko-sowiecka 1939*, Warszawska Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1990 r.
- 2) Karol Liszewski *Wojna polsko-sowiecka 1939*, wyd. Pol. Fund. Kult. Londyn 1988 r.

Alfred Łoś

Bezimienny

Wysłałem list – garść dobrych słów.
Od chwili tej miesiąc już minął.
Dziś do rąk moich wrócił znów
Z pieczęcią: “adresat zaginął”.

Ach, gdybym jakim cudem zgadł,
Co znaczy ta pieczęć złowroga.
Czyś ranny, bracie, czyliś padł.
Czyś może w niewoli u wroga?

Chciałbym za twoim śladem iść,
Lecz droga ma będzie daremną.
Przepadłeś jako zwiędły liść,
Porwany wicherem w noc ciemną.

Coś działał, jakiś cierpiał trud,
Z przyjaciół twych nikt nie odgadnie.
Gdy kłębią się obszary wód,
Czym kropla jest mała gdzieś w dnie?

Czym jest żalony jeden ton,
Gdy wokół milionów męczarnia,
Czym jest iskielki jednej zgon
W pożarze, co wszechświat ogarnia?

I dalej będzie istniał świat,
Choć tyś jak cień błady przeminął.
Jeden został po tobie ślad:
Ta pieczęć – “adresat zaginął”.

Kazimiera Iłakowiczówna

Boże Narodzenie

A czy będzie wigilia przygotowana?
A czy obrus nakryją, położą siana?
Czy zastaną gotowy tam biesiadnicy
Czarny mak utarty drobno w donicy?

A czy będzie i kutia, jak od lat wielu?
I śliziki, i wielka misa kisielu?
Barszcz jak rubin czerwony, jak woda – czysty?
Szczupak – szary, ogromny i uroczysty?!

Gdy siądziecie na ławie zebrani społem,
Czy zostanie nam trochę miejsca za stołem?
Gdy podzieli się kołem cała gromadka,
Czy zostanie nam aby okruch opłatka?!

Janina Baranowa z d. Szoferówna

Warszawa

Boże Narodzenie 1941¹

Pół roku w Ust'-Sielgu zrobiło swoje. Dziewczynki żyły się z warunkami i za-
przyjaźniły z tutejszymi dziećmi. Elżunia ma nieodstępną Katię Kolbin, a Maryła
Niurę Kononow.

¹ Fragment z "Dziennik z zesłania" – Nasz Krąg Nr 3 (81) Warszawa 2003

Drzewko z tajgi przyniósł drwal, pocziwy z kośćcami pracownik przy “klopce”², jodełkę o cudnych długich igielkach, zgrabną i proporcjonalną. Zrobiłyśmy różne cacka z tutejszych dostępnych materiałów i było zupełnie ładne drzewko. Szopkę zrobiłam z kory brzoźowej z gwiazdą i napisem Gloria in excelsis Deo! Do szopki wstawiłam obrazek z mszału o Bożym Narodzeniu.

Wziąwszy pod uwagę gorzkie łzy, które padały podczas klejenia – można powiedzieć, że szopka była droższa od wszystkich lwowskich sklepowych. A zresztą naprawdę była ładna. Na wigilię zaprosiłam naszych azjatyckich gospodarzy, u których mieszkamy – bo bałam się samej siebie. Nie wierzyłam sobie, czy potrafię zapanować nad sobą i nie postraszyć dzieci płaczem. Ugotowałam supkę kartoflaną z grzybami (Elżunia latem nazbierała w tajdze) i fasolę, jeszcze resztki ze Lwowa. Kupiłam pół litra wódki, 2 kg sera (twarogu). Dziadek Kowalow dał kilka solonych rybek, a babka – orzeszków cedrowych. Po kolacji zaświeciłam choinkę (było pięć świeczek z jednej pociętej) i kolędowałam z Elżunią. Maryla pomagała jej jak mogła i umiała. Wówczas poznałam jak wielki jest Bóg i jak cudowną skarbnicą bogactw i łask jest religia! Kochani moi wszyscy najbliżsi, chociaż daleko od was – byłam z wami przez tę rocznicę narodzenia Jezuska Zbawiciela. Wiem, że myśleliście wtedy o nas i nie tracie nadziei, że się zobaczymy. Tym bardziej, że się tak nasza sytuacja zmieniła.

Wojsko polskie walczy z armią sowiecką przeciw Hitlerowi, a polscy obywatele są oswobodzeni. Wyrok 20-letniej pracy na błotach Wasiugańskich stał się nieważny. Moja korespondencja z Basią Rewieńską ilustruje obecną sytuację. Chociaż wolno – nie ruszam się stąd ze względu na chleb (zboże), które mi się tutaj należy z kołchozu, na mrozy – 53⁰ i na to, że boję się wpaść w okolicę przeludnioną bieżniami. Tutaj, chociaż ciężko, smutno rozpaczliwie, ciasno i brudno – to poza przednówkiem, o którym lepiej nie wspominać, nie jesteśmy nigdy głodne. Chleba wprawdzie za mało, ale kartofla i mleko jest, a nawet cielęciny czasem kupić można, albo szczupaka. Wielką pomocą, zresztą jedyną, są pieniądze Wandzi przesłane przez Basię.

[...]

Dziś Nowy Rok. Półtora roku bez Kazika. Czy zobaczę go jeszcze? Na wszelkie zapytania do NKWD, do poselstwa polskiego, do sztabu Armii Polskiej żadnej odpowiedzi! Gdy patrzę wstecz na 41 rok dziwię się, że żyję i że mam jeszcze jako tako

² Klopka – wyrób klepek.

zdrowe zmysły. Chyba 1942 gorszym nie będzie! Jeśli Bóg pozostanie mi tak bliski jak w 41 roku, pokonam wszystko!

Włodzimierz Lewik

List wigilijny od Matki³

Piszę Ci, Synku list z daleka, z domu...
Na szybach śnieżne łyskają się płatki –
Wspominam dawne dni – i po kryjomu
Płacę... Ty, Synku zrozumiesz łzy Matki.

Jest już choinka... wiesz, zaraz u stoła
Siądziem, jak dawniej, z siostrzyczkami trzema –
A z nami razem i myśl niewesoła,
Że Ciebie, Synku, wśród nas dzisiaj nie ma...

Ty tam samiutki w odległej gdzieś stronie
Jak my tak liczysz mijające chwile...
Jaka Ci gwiazdka dziś wieczór zapłonie,
Kto ci świąteczną przyładzi wigilię?

Jaką kolędą, Syneczku mój miły,
Rozjaśnisz Twoje godziny tułacze?
Myśmy się dzisiaj za Ciebie modliły,
A ja nad listem jeszcze, widzisz, płacę...

³ Wiersz wydany w 1942 r. w Genewie w Biuletynie YMCA dla polskich jeńców wojennych w Niemczech, napisany w obozie Oflag VIb. Dössel b. Warburg.

Stanisław Kwiatkowski

Pasłęk

Wspomnienia kresowiaka z Załoziec

Urodziłem się w Załóżcach 1.10.1924 r. jako syn Karola (urzędnika gminnego) i Walerii z Wojtowiczów. Tu też ukończyłem 7-klasową szkołę powszechną.

Po utracie rodziców zostałem w wieku 8 lat oddany – na podstawie decyzji Sądu – pod opiekę wuja Włodzimierza Sobejki (naczelnika Urzędu Poczтового) i dziadka Adolfa Kwiatkowskiego (wieloletniego sekretarza urzędu gminnego, pracującego aż do 1936 roku).

Urząd Pocztowy w Załóżcach mieścił się, aż do końca 1939 r. w naszym domu przy ul. Brodzkiej 150 (nad stawem w Nowych Załóżcach), który był zarazem, obok kościoła i “Sokoła”, ośrodkiem społeczno-politycznym miasta.

W okresie międzywojennym często gościli w naszym domu księża, hr. Jadwiga Cieńska, miejscowi działacze, oficerowie garnizonu złoczowskiego, a później był nawet minister spraw zagranicznych płk Józef Beck.

Po I wojnie światowej w budynku zlikwidowanej kuźni dziadka mieściła się kuchnia organizacji charytatywnej.

Wakacje częściowo spędzałem na miejscu, w gronie licznej rodziny spoza Załoziec, częściowo w Olejowie, gdzie zarządcą majątku hr. Wodzickich był mój drugi dziadek – Wojciech Wojtowicz, a wuj Władysław był leśniczym.

Zawsze interesowałem się życiem społeczno-kulturalnym i towarzyskim w naszym mieście. Można było uczestniczyć w zawodach sportowych, imprezach rozrywkowo-kulturalnych i patriotycznych, seansach kin objazdowych. Można było także słuchać audycji radiowych ponieważ wujek posiadał własny odbiornik “Telefunkena” lub czytać książki. Interesowałem się też polityką, w związku z czym czytałem wiele gazet i czasopism.

Znałem wielu mieszkańców naszego miasta, jak pp. Baczyńskich, Gajewskich (z Gajów), Figlarów, Kostków, Kulpińskich, Mikołajewiczów, Spittalów, Szawłowskich, Szyfferów, Węglińskich i in. Właściwie można powiedzieć, że znałem prawie

wszystkich mieszkańców Nowych Załoziec; z terenu Starych Załoziec znałem tylko niektóre rodziny: Bosakowskich, Kowalskich, Majerów, Mielników, Wąsieckich.

W latach 1938/1939 uczęszczałem do Gimnazjum Kupieckiego w Złoczowie, którego ówczesnym dyrektorem był Tadeusz Gorączko. Mieszkałem w tym czasie przy ul. Krętej 22 w domu drugiej żony dziadka – Jadwigi Stephanickiej, wdowy po sekretarzu miejscowego urzędu gminnego.

W Złoczowie uczestniczyłem w ostatniej przed wojną uroczystości 3 Majowej. Była msza polowa na stadionie i przemarsz ulicą Sobieskiego. Podczas defilady wojskowej wydarzył się wtedy tragiczny wypadek: tuż przed trybuną honorową spadł z konia jeden z ułanów i zginął na miejscu, a krew z roztrzaskanej głowy żołnierza zbryzgała znajdujących się na niej dostojników. Wszyscy uznali ten wypadek za zapowiedź jeszcze większego nieszczęścia.

Wieść o wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku usłyszałem jako jeden z pierwszych w rodzinie już o godz. 6 rano w radiowym orędziu prezydenta Mościckiego.

W Złoczowie, w kilka dni później, znalazłem się w wirze wojennych działań. Codzienne ataki niemieckich bombowców, mimo niewielkich szkód, dały się mocno we znaki mieszkańcom. Przemarsze oddziałów wojskowych, tłumy uchodźców z zachodniej i centralnej Polski, ukraińscy i niemieccy dywersanci, trudności żywnościowe i coraz bardziej ponure wieści z frontu – powodowały trwogę i przerażenie wśród ludności, ale to był dopiero początek nieszczęść.

Jesienią burza z deszczem i piorunami przyniosła ze wschodu czerwonych “wyzwolicieli”, radośnie witanych przez miejscowych Żydów, ale za to bardzo rozczarowanych Ukraińców. Zgodnie z odezwą miejscowego starosty mieli to być sprzymierzeńcy, a kim byli – okazało się już wkrótce.

W następnym dniu byłem świadkiem przemarszu ul. Sobieskiego ogromnej masy polskich wojskowych, kolejarzy, pocztowców, harcerzy, leśników i cywili, zagarniętych przez “wyzwolicieli” i konwojowanych przez skośnookich “bojców” z karabinami pamiętającymi I wojnę światową. Jeńcy polscy byli obrzucani wyzwiskami i napastowani czynnie przez miejscowe żydostwo.

Z powodu groźnej postawy tłumy i konwojentów, próby dostarczenia jeńcom jakiegokolwiek pomocy materialnej kończyły się niepowodzeniem.

Dzięki usłużnej pomocy i gorliwości czerwonej milicji, złożonej z przestępców kryminalnych oraz żydowskiej młodzieży, bardzo szybko zapełniło się Polakami więzienie zamkowe. Początkowo więziono, mordowano lub wywożono do łagrów patrio-

tów polskich, później także ukraińskich nacjonalistów. Natomiast “białych” Rosjan mordowano od razu na miejscu.

Bardzo smutne były Święto Zmarłych i Boże Narodzenie 1939 roku. Nie było bowiem polskiej rodziny, która nie straciłaby kogoś z bliskich.

Pamiętam dzień 11 Listopada, obchodzony uroczystość w złoczowskim kościele parafialnym i na cmentarzu. Iluminowano świecami i ukwiecono mauzoleum pomordowanych w 1918 roku przez Ukraińców kolejarzy oraz groby legionistów, POW-iaków, harcerzy i powstańców z 1863 r.

Nigdy jeszcze na pasterce nie widziano takiej masy ludzi. Zbity tłum otaczał kościół ze wszystkich stron.

W początkach okupacji sowieckiej odwiedzali kościół także liczni wojskowi sowieccy i osoby cywilne. Byli to prawdopodobnie osadnicy wiejscy z zachodniej granicy, którzy przyjeżdżali tu całymi rodzinami na chrzty i śluby. Dzięki ich hojności kościół był czynny, gdyż można było z ich datków opłacać ogromne podatki, które sowieci nałożyli na kościół.

Przez krótki czas uczęszczałem do szkoły ekonomicznej z polskim językiem nauczania, obsadzonej przez mieszaną polsko-sowiecką komunistyczną kadre pedagogiczną. Mimo przewagi uczniów narodowości ukraińskiej i żydowskiej, codziennie zawieszano w klasie przed lekcjami krzyż i modlono się.

Lekcje polegały na rusyfikowaniu i komunizowaniu młodego pokolenia za pośrednictwem sowieckich podręczników, pogadanek i prasy, między innymi polskojęzycznego “Czerwonego Sztandaru”. Młodzież zapełniała sobie nudny czas tych zajęć grą w karty lub zadawała wykładowcom drażliwe pytania np. na temat rządu i wojska polskiego we Francji, wzrastającego “dobrobytu” w sowietach i stosunku do hitlerizmu.

Coraz mniej towarów można było nabyć w złoczowskich sklepach, (a całonocne kolejki po żywność nie były rzadkością), po jakim-takim nasyceniu “wyzwoliciele”, którzy mimo posiadania już własnych sklepów (wojentorgów), też prawie pustych, wykupywali wszystko.

Tak minął rok 1939. Po przymusowej “paszportyzacji” i łaskawym przychyleniu się władzy ZSRR do “prośby” tubylców – weszliśmy w skład Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Rad.

Podczas podjętej z inicjatywy Niemiec “repatriacji” ludności niemieckiej z terenów Ukrainy do Generalnego Gubernatorstwa, wiele osób niemieckiego pochodzenia opuściło “kraj wolnych ludzi”. Razem z nimi w ramach powrotu uciekinierów

do domu wyjechała też część Polaków, między innymi do Warszawy wyjechała rodzina mego wuja Stephanickiego, kapitana lotnictwa, (on sam już w 1939 roku odleciał samolotem do Francji) oraz grupa pięciu lekarzy, mieszkających czasowo w naszym domu. Jedynie dwoje z nich potrafiło zdobyć się na list ze słowami wdzięczności i informacją o swoim ślubie w Krakowie. Lekarka ze Śląska – Żydówka – aktywna komunistka, wybrała natomiast “wolność” i wyjechała - za Krąg Polarny.

W 1940 roku nadeszła zima, jakiej nie pamiętano od lat, a w lutym tego roku, jak grom z jasnego nieba, spadło na społeczność polską wielkie nieszczęście. Przy 40^o mrozie ruszyły pierwsze transporty rodzin policyjnych, oficerskich, inteligentnych i działaczy polskich na Syberię i do Kazachstanu. Transporty formowano i odprawiano nocami, a po ich odejściu zbierano z torowisk zmarznięte ciała dzieci i starców.

Ze Złoczowa wywieziono około 4.000 Polaków, między innymi mego wuja Jana Zawitkowskiego, przedwojennego naczelnika poczty w Rzeszowie, z żoną i dwoma córkami. Ocalał tylko jego syn, będący w tym czasie w pracy na złoczowskiej poczcie. Nasz znajomy (były legionista), także pracujący na poczcie, po powrocie do domu z nocnej zmiany zastał dom opieczętowany, wywieziono bowiem jego żonę i córkę. Opróżnione mieszkania po wywiezionych zajmowały rodziny sowieckie.

Powracając furmanką ze Złoczowa do Załoziec, napotkałem liczną grupę jeńców polskich w bardzo zniszczonych mundurach i wygłodzonych. Zatrudniano ich przy naprawie szosy.

W Załóżcach dowiedziałem się o losach innych znajomych osób. I tak: komendant posterunku Policji Państwowej – przodownik Nazarek – został napadnięty przez Żydów na rynku w chwili wejścia do miasta “wyzwoliciele” ze Wschodu. Rozbrojono go i pobito, po czym ślad po nim zaginął, a rodzinę wywieziono. Wdowa po tragicznie zmarłym (1.09.1939) komorniku Węglińskim, która znalazła schronienie z 4 letnim Jackiem w naszym domu oraz rodziny Szawłowskich i Figlarów również zostały wywiezione. Po rozpędzeniu zgromadzenia ss. Miłosierdzia – wywieziono także dzieci z sierocińca. Nas nie ruszono dzięki pozytywnej opinii miejscowych Żydów.

W domu naszym, jak też w nowo wybudowanym domu wuja Sobejki, który został pomocnikiem sowieckiego naczelnika poczty w Starych Załóżcach, zamieszkali sowieci, pozostawiając nam tylko dwa pokoje z kuchnią. Zamieszkał u nas i wspomagał opałem (drzewo, torf) oraz przydziałami żywnościowymi kierownik gorzelni w Turczynowie, podający się za Żyda z Gdańska. Lubilem go i interesowałem się jego cenną biblioteczką, natomiast nie znośmłem jego stale milczącej żony.

Pewnej nocy tuż przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej Ukraińcy zamordowali, byłego żydowskiego zarządcę folwarku Turczynów, zamieszkałego w pobliżu “Narodnego Domu”, pełniącego obowiązki dyrektora kołchozu. W tym samym czasie mieszkający u nas kierownik gorzelnii wyjechał “służbowo” wraz z żoną do Tarnopola.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej przerwał naszą korespondencję z wywiezionymi do ZSRR: hr. Cieńską, pp. Figlarami, Szawłowskimi i Węglińską. Nie mogliśmy więcej wspomagać ich żywnością.

Po krótkiej walce z nielicznymi oddziałami sowieckimi weszli do Załoziec nowi okupanci. Czy cywilom sowieckim udało się zwać przed Niemcami – wątpię, ponieważ pomyśleli o tym dopiero tuż przed walkami ulicznymi. My przez ten czas przebywaliśmy w piwnicy obok domu.

Niemcy pierwszej linii zagarnęli mnie jako “komsomolca” wraz z grupą Żydów - na rozstrzelanie. Od śmierci uratował mnie dziadek, znakomicie władający językiem niemieckim.

Z podwórka naszego domu obserwowałem oficjalne i bardzo uroczyste powitanie przez nacjonalistów ukraińskich wkraczający Wehrmacht. Ukraińska radość z powstania Ukrainy z łaski Hitlera była mocno przedwczesna, ponieważ Niemcy rozlepili wnet afisze o utworzeniu Generalnego Gubernatorstwa.

Nie udało się nakłonić dziadka do powrotu na stanowisko sekretarza gminy, a wuja Sobejki na stanowisko naczelnika poczty. W wyniku represji skonfiskowano wujowi nowo wybudowany dom na pomieszczenia dla poczty i poradzono nam opuścić Założce.

Wkrótce po niespodziewanej wizycie byłego kierownika gorzelnii w mundurze kapitana wojsk niemieckich (że nie był on Żydem, wiedziałem wcześniej), wyjechalismy z dziadkiem wozami do Złoczowa z całym ruchomym majątkiem. Wuj Sobejko wyjechał do Lwowa. Dom nasz w Założcach pozostał na łasce sąsiadów i pogorzalców.

Były inspektor szkolny Mikołajewicz – wbrew dotychczasowym poglądom religijnym i postawie polskiego patrioty – został w Złoczowie komendantem policji ukraińskiej i katem Polaków. Jednym z pierwszych, który wpadł w jego łapy – był mój kolega szkolny Tadeusz Rybicki. Inny – Zygmunt Kwieciński, zamieszkały w budynku “Sokoła”, został wywieziony na Sybir – odnalazł się po wojnie w Kanadzie.

W Złoczowie, gdzie nastrój był równie żałobny jak podczas mego poprzedniego pobytu w tym mieście, dowiedziałem się o przerażających sprawach. Widziałem po-

przednio makabryczne sceny aresztowań, poniżania godności ludzkiej, akty rozpacz po stracie ojczyzny i najbliższych, ale teraz rozmawiałem z ludźmi, którzy cudem uratowali się z piekła lub widzieli sceny porażające. Niemcy po wkroczeniu do Złoczowa, spędzili mieszkańców do zamku, pokazując im świeże trupy okrutnie pomordowanych więźniów, na dziedzińcu, w celach i wykopanych dołach, do których zwaleni byli warstwami i zalewani niegaszonym wapnem.

Wyjątkowo piękna córka adwokata zamieszkałego obok naszego gimnazjum, kruczowłosa Urszula, została na zamku ukrzyżowana. Wśród oprawców byli między innymi miejscowi Żydzi. Nic więc dziwnego, iż dzień później doszło do krwawego pogromu i rabunku Żydów. Zrabowane Żydom mienie odebrali wkraczający Niemcy.

Na rynku dokonano uroczystego spalenia symboli poprzedniego okupanta – olbrzymich portretów, gwiazd, flag itp.

Wkrótce potem wyjechałem do Olejowa (w pow. zborowskim), do rodziny Matki. Tam byłem świadkiem okrucieństwa policji ukraińskiej w stosunku do polskiej ludności. Widziałem, jak pędzono biegiem do obozu karnego w Zborowie starszych wiekiem gospodarzy z Trościańca, za nieoddanie przez nich w całości wyznaczonego przez władze tzw. kontyngentu. Skatowanych i pokrwawionych ludzi ładowano potem na wozy i gdzieś wywożono. W Olejowie podobną akcję przeprowadzono dzień później. Bito do krwi nawet rodziny gospodarzy i rabowano przy tym co się dało. Wyjątkowo okrutnie postąpili policjanci z wielkim patriotą polskim, ułomnym byłym właścicielem sklepu. Musiał służyć rozochoconym mołojcom za konia (pod siodło). Wkrótce okrutnie zamordowano leśniczego.

Mając dość widoku tych zbrodni, gróźb i poniżania godności ludzkiej, a przy tym nie chcąc być ciężarem dla dziadka żyjącego z ponownie przyznanej mu emerytury i ofiarności znajomych mieszkańców Trościańca, wyjechałem do znajomych w Przeworsku.

W tym czasie przyznawanie się do polskości i publiczne używanie języka polskiego, narażało na terenach wschodnich na represje. W Przeworsku innego języka prawie się nie słyszało. Podobnie było za Sanem. Działały tu jeszcze szczątki polskiej administracji, szkolnictwa i życia publicznego (samorząd, sądownictwo, policja, poczta itp.).

Próba podjęcia przeze mnie nauki w szkole handlowej nie powiodła się. Jako osoba spoza terenu gminy, zostałem wkrótce wywieziony (z listy) do pracy przymusowej w III Rzeszy. Podczas pobytu w centralnym obozie ekspedycyjnym w Krako-

wie, lepiej poznałem w ciągu kilku dni życie pod okupacją niemiecką aniżeli w stronach rodzinnych.

Mój transport odchodził do Rzeszy w końcu grudnia 1941 roku, na szczęście, bez list spisowych (zniszczonych w nocy przez AK). Nie zostałem więc wyczytany przed wyprowadzeniem nas na dworzec kolejowy. W czasie jazdy wagonami osobowymi przez las, wyskoczyłem podczas śnieżycy (wraz z kilku innymi chłopcami) w okolicy Trzebini. Później w domach leśniczego – Polaka i dwóch ofiarnych rodzinach śląskich zostaliśmy ugoszczeni, a następnie, w dobę po ucieczce, zostałem przeprowadzony przez granicę.

Przed graniczną stacją Krzeszowice wpadłem w ręce żandarmów niemieckich, ale jaka taka znajomość języka, pewność siebie i łut szczęścia sprawiły, że zostałem przez nich skierowany do pracy w miejscowym majątku generalnego gubernatora Franka.

Z Krzeszowic, wmieszany nielegalnie w grupę polskich junaków, przybyłem pociągiem pośpiesznym do Krakowa, skąd udałem się do Przeworska. Po tygodniu ukrywania się w melinie, znalazłem się z inicjatywy AK, za wiedzą niemieckiego inspektora w Oddziale Ukraińskiej Służby Budowlanej w Żurawicy k. Przemyśla – czysto polskiej wsi. Transakcji tej dokonano w restauracji “Nur für Deutsche” w Przeworsku.

Powiadomiony o osobistej kontroli mojej pracy przez inspektora, jedyny raz pracowałem jak “stachanowiec” przy rozładunku żwiru z platformy. Po tym wyczytanie nikt się już mną specjalnie nie interesował, gdyż całe kierownictwo oddziału, poza inspektorem, komendantem i jego bratem, było polskie. Poza lekkimi dorywczymi zajęciami wykonywałem także inne czynności na tej rozbudowywanej pośpiesznie – z ogromnym nakładem materiałowym i użyciem najnowszego sprzętu – stacji kolejowej Żurawica-Przemyśl. Nieprzerwanym potokiem płynęły przez nią transporty wojskowe i gospodarcze na wschód.

Po roku, gdy moja i obecność innych Polaków w tym oddziale, przekształconym w paramilitarną jednostkę ukraińską, zaczęła być niebezpieczna, zostałem przeniesiony do oddziału Polskiej Służby Budowlanej w Przeworsku, a potem w Szuwsku nad Sanem (budowa mostu drogowego). Tam, podczas świąt Wielkanocnych czynnie pouczono niemieckich majstrów na temat stosunku do polskich junaków. W wyniku tej “akcji” oraz w obawie przed nasilającą się akcją partyzancką, prace w Szuwsku przerwano i przeniesiono oddział pod Przeworsk. Tu kierowałem pracą kilkunastu ludzi przy niwelowaniu bagrownicą terenu pod rozbudowę stacji

Przeworsk. Dzięki temu mogłem korzystać z odrębnego zakwaterowania i lepszego wyżywienia w miejscowej plebani.

Korzystając ze względnej swobody, przebywałem często poza obozem, a stosunki z częścią junaków utrzymywałem na stopie koleżeńskiej. Miejscowy inspektor unikał styczności z mieszkańcami w obawie przed partyzantami, zwłaszcza po zlikwidowaniu w mieście i w pobliżu obozu – ukraińskich konfidentów niemieckich i paru udanych akcji na cukrownię, mleczarnię i olejarnię w Przeworsku. Działała u nas konspiracyjna grupa AK. “Biuletyn Informacyjny” przekazywany był z rąk do rąk. Wraz z mieszkańcami wsi tworzyliśmy oddział samoobrony, patrolujący Nadsanie. W ręce gestapowców trafił tylko jeden nieostrożny junak, zamieszany w likwidację “granatowego” policjanta, który był na usługach Niemców.

Tuż przed nadejściem frontu obóz zlikwidowano, wycofując oddział do Rzeszowa. Wraz z grupą wtajemniczonych ludzi zviałem wcześniej i ukrywałem się aż do przybycia wojsk sowieckich.

Pędzili później sowieci przez Przeworsk masy wyłapanych banderowców oraz Polaków ze wschodnich terenów, poczynając sobie teraz o wiele bezwzględniej niż w 1939 roku. – Rabowali, mordowali, gwałcili, aresztowali. Doświadczyłem tego na sobie, gdy wychodząc z Wojskowej Komendy Uzupełnień w Jarosławiu, znalazłem się w pobliżu sowieckiej placówki ruchu. Na gwizd dyżurnego, wypadła z budynku zgraja “bojców” i po kilkunastu minutach znalazłem się, zбитy i związany, w opuszczonej cegielni wśród kilkudziesięciu innych ludzi, podobnie jak ja częściowo lub w pełni umundurowanych.

Po sprawdzeniu moich danych w WKU i UB w Przeworsku (jej szefem był kolega z Polskiej Służby Budowlanej), towarzyszka prokurator zwolniła mnie z aresztu.

Zostałem skierowany do Centralnej Oficerskiej Szkoły Piechoty w Krakowie, gdzie poznałem braci Moczulskich. Wskutek interwencji szefa Informacji Wojskowej nie otrzymałem promocji na oficera, ale w stopniu starszego sierżanta podchorążego zostałem w połowie 1945 roku skierowany do 7 Pułku Zapasowego w Częstochowie. (Tu zainicjowałem z grupą kolegów nieoddawanie honorów wojskowych oficerom sowieckim).

Później, przez 4 Pułk Piechoty w Kielcach trafiłem do 34 pułku Strzelców Budziszyńskich. Pracując w oddziale operacyjnym sztabu pułku stacjonującego w Sanoku, byłem prawie stale w rozjazdach. Korzystałem, więc ze sposobności zwiedzania kraju na własną rękę.

Biorąc pod uwagę bardzo napiętą sytuację w Sanoku między wojskiem a “bezpieką” i partią, skorzystałem z demobilizacji w marcu 1946 roku, zmieniając czasowo datę urodzenia.

Osiedliłem się w Pasłęku k. Elbląga, gdzie pracowałem w Służbie Ochrony Kolei (SOK). Zrezygnowałem z tej pracy i na koniec zostałem zastępcą kierownika ekspedycji handlowej w Pasłęku. Jako działacz “Solidarności” przeszedłem na wcześniejszą emeryturę na początku stanu wojennego. W tych czasach byłem wielokrotnie szykanowany, ale dzięki pomocy dobrych ludzi udało mi się stawić czoła przeciwnościom losu.

Będąc na emeryturze i mając już dorosłe dzieci, z inspiracji poznanego podczas występu w “Wielkiej Grze” historyka prof. Henryka Samsonowicza poświęciłem się pisaniu pamiętników. Swoją główną 3-tomową pracę przekazałem do biblioteki “Domu Polonii” w Pułtusku. Może zostanie wydana.

Co do ukształtowania się moich zainteresowań dziejami narodu polskiego, to wyniosłem je z domu rodzinnego o żywych tradycjach patriotycznych. Pradziadek był powstańcem z 1863 roku, a brat ojca – Bronisław – legionistą. Ciotka Stanisława, zameżna za Rudolfem Karasim (prezesem sądu apelacyjnego w Poznaniu) została zamordowana wraz z nim przez okupantów niemieckich, a ich syn i córka zaginęli. We Lwowie zginęła też ciotka, żona wuja Sobejki.

Tak w SOK-u, jak i podczas pięciokrotnych ćwiczeń wojskowych, gdzie uzyskałem stopień porucznika, prowadziłem szkolenia, nie zaniedbując uświadamiania patriotycznego młodych ludzi.

Lata nie pozwalają mi już na poznawanie kraju Mimo bezpłatnych przejazdów kolejowych już się nie decyduję na dalsze wyjazdy niż Olsztyn i Elbląg. Wyjątkowo docieram do Warszawy, gdzie mieszka moja córka.

Gdyby ktoś z naszych zabłądził na trasie Olsztyn – Elbląg zawsze może liczyć na dobre przyjęcie w Pasłęku.

Interesuje mnie życie w Załóżcach po 1941 roku. Gdyby udało się nawiązać kontakty ze wszystkimi żyjącymi ludźmi z Załoziec np. przez zjazd w Częstochowie, byłaby to wyjątkowo miła uroczystość.

Mimo wielokrotnych starań, nie udało mi się uzyskać ekwiwalentu za mienie zagrabione w Załóżcach. Sąd rejonowy w Elblągu uznał moje roszczenia, ale sąd wojewódzki oddalił je. Zajmowane mieszkanie kupiłem za własne pieniądze.

Już we wrześniu 1939 roku zapoznałem się z treścią słynnej przepowiedni ks. Markiewicza o losach Polski, kolportowanej w dniu wejścia sowietów do Złoczowa przez listonosza Milenika, pochodzącego z Załoziec. Jak dotychczas przepowiednia się sprawdza.

Michał Serafin

Łambinowice

Święta Góra

Sanktuarium na Ziemi Skałackiej

Święta Góra – to jedno z wyższych wzniesień odcinka Miodoborów, biegnącego z północy na południe, na obszarze byłego powiatu skałackiego.

U podnóża tej góry leżą dwie wsie: Połupanówka od strony zachodniej i Stary Skałat z południowego zachodu. Wiekowe są to wsie, pamiętają najazdy tatarskie. Połupanówka i Stary Skałat wraz z przylegającą do nich Nowosiółką Skałacką stanowią ciągłą zwartą wiejską zabudowę.

Od wieków okoliczna ludność nazywała tę wznoszącą się nad nimi, zieloną, z wystającymi białymi głazami górę – Świętą.

Może dlatego, że była najwyższą i aby dostać się traktem polnym, najkrótszą drogą na wschód, nad Zbrucz, trzeba było włożyć wiele wysiłku by ją pokonać. Najpewniej jednak ze względu na fakt, że w połowie wzniesienia tryskało od wieków wydajne źródło zimnej, czystej, zdrojowej wody. Woda spływała w dół i łączyła się ze strumieniem, płynącym z Małych Touter (Miodoborów), dając początek rzeki Gnilej. Z czasem źródło pogłębiono, aby można było poić bydło, czy konie, ciągnące w górę ładunki.

W wielu przekazach miejscowej ludności w lustrze wody tego źródła, a potem studni, ukazywała się postać Matki Boskiej. Z bliższych i dalszych wsi ludzie pielgrzymowali na tę niezwykłą Górę. Pili wodę ze źródła, obmywali nogi, zanosili wodę w glinianych naczyniach do swoich domów, wierząc, że ma ona uzdrowicielską moc.

Tak, więc powiedzenie “wiara czyni cuda” także w tym miejscu się sprawdziło, bo oto w odległości rzutu kamieniem od tryskającej wody Rusini wybudowali prawosławną cerkiew, a Polacy rzymskokatolicki kościół. Jeden Bóg, jedna Matka Boska, jeden Chrystus, a dwie różne, nie tylko pod względem architektonicznym, świątynie. Jest to charakterystyczne na ziemiach kresowych, gdzie Polacy, Ukraińcy i Żydzi przez wieki współżyli w miarę pokojowo i dopiero faszyzm niemiecki, utopijny komunizm i ukraiński nacjonalizm zburzyły tę równowagę, powodując totalne zmiany, mordy, przymusowe wysiedlania, ucieczkę i walkę o życie. Dramaty ludzkie nie miały końca.

Przez dziesiątki lat po wojnie tłumiono życie duchowe, walono i palono świątynie, umierała nadzieja, ale WIARA, jak żar w popiele, przetrwała i to ona spowodowała, że Święta Góra wraz z kościołem i cerkwią, znowu triumfuje nad otoczeniem i nad tym złym czasem. Magnes duchowy tej góry sprawił, że w latach 90-tych pod jej zboczem znalazły sobie miejsce siostry Franciszki, które oprócz swych rozlicznych obowiązków dbają o piękno świątyni.

To miejsce święte, miejsce magiczne i odrodzona wiara – były na pewno przesłanką do wydania w lipcu tego roku przez kardynała Mariana Jaworskiego dekretu o przemianowaniu kościoła na Sanktuarium Świętogórskie.

W dniu 16 lipca 2004 roku odbył się doroczny odpust na Świętej Górze ku czci Matki Boskiej Szkaplerznej, a jego punktem kulminacyjnym było podniesienie kościoła do rango Sanktuarium. Stosowny dekret kardynała Mariana Jaworskiego odczytał i słowo Boże wygłosił ks. biskup Marian Buczek. Matka Boża Szkaplerzna, której obraz przyozdabia główny ołtarz, od tamtej chwili otrzymała dodatkowy tytuł: Maria Świętogórska.

Sanktuarium – święte miejsce na Świętej Górze. Doniosła uroczystość!

Piątek, zwykły roboczy dzień, a tu wielka uroczystość! Masa ludzi, pełen kościół i ludzie wokół kościoła. Delegacje z okolicznych kościołów i cerkwi ze swoimi chorągwiami wchodzą do kościoła i pochyleniem chorągwi przed głównym ołtarzem oddają cześć Matce Bożej Szkaplerznej. Większość wiernych to ludzie starsi, mocno spracowani, ale jak śpiewają! Jak głośno, jak melodyjnie, a śpiewają wszyscy, młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni, śpiewają też dzieci. Drgania powietrza przenoszą się na okna i ściany, co sprawia wrażenie, że cały kościół wibruje. Takiego śpiewu w Polsce, w naszych kościołach nie słyszy się. I jeszcze jedno: po mszy ludzie nie opuszczają w pośpiechu kościoła, ale śpiewają jeszcze dwie, trzy pieśni, głośno się modlą i dopiero wychodzą.

Pół wieku przerwy w praktykowaniu wiary jakby zatrzymało czas. Nie widać pośpiechu, a ludzie realizują, może i nieświadomie ideę, że jeśli przychodzisz na spotkanie z Bogiem to się nie śpiesz!

Brakowało dzieci, ale wkrótce wyjaśniło się, że w tym czasie ponad osiemdziesięcioro dzieci przebywało na koloniach w Polsce, w Górach Stołowych i na Podhalu. A wszystko dzięki sponsorom, których znalazł nieoceniony ksiądz proboszcz Wojciech Bukowiec.

W uroczystościach uczestniczyła również ponad 40- osobowa pielgrzymka dawnych mieszkańców Połupanówki, Starego Skalatu i Nowosiółki, mieszkających obecnie na Dolnym Śląsku. Była to już ich szósta pielgrzymka, w której najstarszy uczestnik liczył sobie 82 lata, a najmłodszy 11 lat. Cieszy to, że starszym urodzonym na Ziemi Skalańskiej, towarzyszą dzieci i wnuki.

Podniesienie kościoła do rangi Sanktuarium świadczy o tym, że docenia się miejsce i osiągnięcia tego kościoła, największej wiejskiej parafii rzymskokatolickiej w diecezji lwowskiej, liczącej ponad trzysta rodzin katolickich i katechizującej dwustu uczniów. Fakt ten zobowiązuje jednak do stworzenia i rozwijania warunków dla przybywających tutaj pielgrzymek z całego Podola. Realizuje to kustosz Sanktuarium ksiądz Wojciech Bukowiec, planując Drogę Krzyżową wokół kościoła i prawosławnej cerkwi oraz uruchomienie domu pielgrzyma. Jest już zgoda władz ukraińskich, na ukończeniu projekt i są ludzie chętni do roboty. Potrzebne są tylko pieniądze. Nie na robociznę, bo mieszkający tu Polacy pracują nieustannie przy obiektach, dając dowód swojego zaangażowania. Pieniądze potrzebne są na zakup materiałów.

Zwracamy się, więc do Wszystkich urodzonych na Kresach Wschodnich, do Waszych Dzieci i Wnuków oraz tych wszystkich, którym nie jest obojętna polskość i wiara katolicka na tamtych terenach z prośbą o wsparcie finansowe w realizacji tego projektu.

Mamy otwarte konto, należące do parafii p.w. św. Magdaleny w Łambinowicach (woj. opolskie), z którego pieniądze przekazujemy na ręce ks. Wojciecha Bukowca.

W jego imieniu i mieszkających tam Polaków za Waszą szczodrość i chęć wspomaganie ich trudu z góry serdecznie dziękujemy.

Bank Spółdzielczy Prudnik Filia Łambinowice

Nr 92-8905-1010-2001-0046-2808-0001

Na przekazach prosimy dopisać:

NA DROGĘ KRZYŻOWĄ NA ŚWIĘTEJ GÓRZE

Bliższych informacji mogą udzielić:

Józef Serafin – Korfantów, tel. 077-4319151,
Stefania Kilarowska – Szadurczyce, tel. 077-4311469,
Bronisława Prucnal – Ziębice, tel. 074-8190171,
Danuta Kulko – Krosno Odrz., tel. 068-3838422,
Michał Serafin – Łambinowice, tel. 077-4311496.

Czytelnicy piszą

Książkę Pana Hussaka "Podole – młodość i nostalgia" przeczytałem jednym tchem. Jest to piękna książka, napisana przez pięknego człowieka o pięknym kraju. Pan Tadeusz to nie tylko księgarz z wielką wiedzą, ale także skromny poeta, który patrzy oczyma i duszą na wszystkie zjawiska, a przede wszystkim na przyrodę, którą opiewa.

Już od pierwszych stron tej książki nurtowała mnie myśl, że przecież ja także tak czułem...

W przedmowie Pani Ireny Kotowicz czytam, że *"zabytki niszczą... ale przyroda – bujna, bogata i piękny krajobraz pozostały te same. Jadąc tam trzeba go w siebie wchłaniać... aby zabrać ze sobą na drugi brzeg życia"*. Robię to, kiedy jestem w Skałacie i proszę o krzesło, by usiąść na drodze do Krzywego i patrzeć...

"Prywatne" terytorium Pana Tadeusza jest mi bardzo dobrze znane. W drodze na nocleg w Podwołoczyskach wstępuję do Kamionek, gdzie mieszka Pan Marian Chitrij, były "hołowa" kołchozu skałackiego, od którego dostałem wielką pomoc przy budowie naszych pomników. Przez Bogdanówkę jadę do Klebanówki – tam mieszka mój znajomy Stefan Kowalczuk. W Bogdanówce wsiadam do pociągu ażeby przyjechać do Tarnopola, a przejeżdżając przez most nad rzeką, która tu płynie – czułem tutaj tę czarującą przyrodę.

Bardzo zainteresowała mnie wizyta Pana Tadeusza w Skałacie w ten świąteczny dzień. *"To było dla mnie pierwsze zaskoczenie... grekokatolicy przybyli z cerkwi z chorągwiami na czele ze swoimi duchownymi...przywitali się pocałunkiem"* i dalej *"kolejnym zaskoczeniem był fakt, że swoje kazanie wygłosił częściowo w języku ukraińskim"*. Jeszcze jednym zaskoczeniem było wystąpienie burmistrza Skałatu. *"Ta młoda Ukrainka wyraziła w imieniu mieszkańców miasta wielką radość... – zaczyna się coś pozytywnego w stosunkach polsko-ukraińskich"*

Książka Pana Tadeusza jest pełna takich przykładów. W tym gwarancja, że wrzesień 1939 nigdy nie powróci w te strony, a Polska bez wojny żyć będzie wiecznie. Trzeba tu żyć, w Izraelu, ażeby zrozumieć, że to szczyt Waszych modlitw, wszystkich Waszych pokoleń.

Pisać o wszystkim, co mnie zaskoczyło w tej książce – to napisać jeszcze jedną książkę, bo nie ma tematu, o którym Pan Tadeusz nie pisze. To wędrówka nie tylko do dawnego kraju, ale także do wszystkich komórek życia społecznego nowej Ukrainy.

Idąc krok po kroku za autorem, spotykam ten domowy tłuszcz jakim był smalec i pierogi oraz domowy chleb. *“Zapach pieczonego chleba był czymś wspaniałym”*, a ta smaczność została na zawsze i nie można jej znaleźć nawet w Warszawie.

I jeszcze jedno: każdy z nas ma swoją Emilię Wyrozumską. U Pana Tadeusza ona nazywa się Maria Osowska. *“Mówiła interesująco o zwierzętach, ptakach, owadach roślinach..., ale też przede wszystkim mówiła mądrze i ciekawie o Polsce”* Dawne szkoły Pana Tadeusza są ważną częścią tej książki. Ja to rozumiem do łez. Tam przed moją szkołą stoję godzinami przed każdym moim wyjazdem ze Skałatu i patrzę, patrzę i czekam na Panią Wyrozumską...

A ta dusza księgarska Pana Tadeusza. *“od dziecka, aż po dzień dzisiejszy moją wielką i stałą pasją jest czytanie książek... w końcu ta praca z książką stała się moim zajęciem na całe życie”*. I dla mnie to jest piękny narkotyk. Myślę o warszawskich księgarniach, gdzie spędzam mój najpiękniejszy czas w tej stolicy.

I są cmentarze, które umierają. Jest Supranówka i grób poetki, ale tam rodzi się nadzieja, że coś się zmieni.

Jest też rzeka dzieciństwa, która wyraźnie śpiewa swoją pieśń i tylko ci, którzy wywędrowali w wielki świat i przeżyli dużo, słyszą pieśń, którą śpiewa rzeka dzieciństwa i nie ma piękniejszej na świecie.

Jest też i o ludzkiej tęsknocie, o której Pan Tadeusz pisze tak dużo. Czytając chce się płakać. Jestem wdzięczny Panu Tadeuszowi, że znalazł wątek także dla mnie, wędrownego ptaka. Ptak z ptakiem się spotkał. *“Gdyby orłem być... Kłaniam się Panu, Panie Tadeuszu.*

Artykuł *“Akt barbarzyństwa w Podwołoczyskach”* wstrząsnął mną, chociaż to wszystko wiedziałem i wiem dokładnie gdzie stoi ten dom kultury. Byłem nawet w tym skromnym nowym kościele w Podwołoczyskach. To samo było w Skałacie, gdzie synagoga była budowana w tym samym czasie co kościół i przez tego samego architekta. To był piękny dom Boga, przez ostatnie 50–60 lat czego tam nie było, nawet

elektrownia. A co zrobili z naszego cmentarza. A wszystko to – ręce moskiewskiego barbaryzmu, spadkobierców Dżyngis Chana, niszczących każdy znak kultury.

Bardzo dziękuję za “Głosy Podolan” Nr 65. Ten biuletyn stał się tak ważnym czynnikiem w moim życiu, że modłę się często, ażeby ten ogień nie zgasł przez dalsze pięćdziesiąt lat i abym mógł wędrować wraz z innymi w tym raj, który istnieje nie tylko we śnie, ale i w rzeczywistości.

Pani Irena Kotowicz przez psychoanalizę próbuje wyjaśnić to zjawisko, to “coś”, co nostalgią się nazywa. Czytam i myślę: przecież ja to wszystko tak przeżywałam. Czasem *“bardzo głęboko i boleśnie”*, a czasem była w tym *“doza słodyczy i dalej niektórzy z nas żyją od lat jakby rozpięci pomiędzy dwoma światami, tamtym utraconym i rzeczywistym”*.

Znam takiego jednego.

Ale nostalgia to nie tylko dawne, piękne krajobrazy. Ma ona też i inny wyraz: moim rajem jest także Warszawa. Nie urodziłem się tutaj, ale ta możliwość bycia tak blisko polskiego języka, “kręcić się” w jej księgarniach, patrzeć na setki polskich książek, pięknie wydanych. Chciałbym je wszystkie kupić. A muzyka w Warszawie, stara i nowa – raj!

Pozdrawiam wszystkich znajomych i nieznajomych, życzę zdrowia i dalszego wydawania “Głosów Podolan”.

Chaim Braunstein

kiedyś Skalał, teraz Izrael

P.S. Czytam codziennie gazety polskie. Wiem, że istnieją problemy, ale jednego nie mogę zrozumieć: tęsknoty za towarzyszem Gierkiem, który reprezentował komunistyczny rząd. A wolna Polska, nawet biedna, to nic? – Ch. B.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Śp. dr Aleksander KORMAN

syn Ziemi Skalańskiej, ur. w 1926 r. w Kaczanówce, w rodzinie sekretarza Urzędu Gminnego tej polskiej wsi. Młodość spędził w Podwołoczyskach, gdzie ojciec Jego pełnił tę samą funkcję aż do wejścia sowieckich wojsk. Wychowany w patriotycznej rodzinie, był harcerzem Kresowej Drużyny Chorągwi Lwowskiej.

Wysiedlony z rodziną do Polski, osiadł we Wrocławiu, gdzie mieszkał i działał do końca życia. Tutaj ukończył studia ekonomiczne, doktoryzował się, założył rodzinę, pracował zawodowo i społecznie w wielu towarzystwach naukowych, stowarzyszeniach kresowych i związkach. Przez dwie kadencje był też radnym Wrocławia, wyróżniony odznakami “Budowniczy Wrocławia: i “Zasłużony dla woj. wrocławskiego i miasta Wrocławia”.

Był współzałożycielem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich i członkiem jego pierwszego Zarządu Głównego we Wrocławiu, a także Fundacji im. św. Andrzeja Boboli i jego pierwszym dyrektorem, odznaczony za swoją działalność Krzyżem Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi oraz innymi odznaczeniami resortowymi i związkowymi.

Jako świadek tragicznych losów Polaków na Podolu, niestrudzenie przywracał pamięć o gehennie Kresowian, gromadząc przez lata dokumenty i materiały związane z martyrologią Polaków na tamtych ziemiach. Z warsztatu tego uznanego, niezależnego badacza wyszły w kraju i zagranicą liczne publikacje i szkice historyczne, dokumentujące zbrodnie ludobójstwa, dokonanego na kresowej ludności polskiej przez ukraińskich nacjonalistów spod znaku OUN-UPA. W jednej z ostatnich prac Aleksandra Kormana “Stosunek UPA do Polaków na ziemiach południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej” Autor przedstawił, przerażający w swej wymowie, zestaw 362 metod torturowania Polaków i zadawania im śmierci przez ukraińskich szowinistów z UPA.

Aleksander Korman zmarł 20 czerwca 2004 roku, pozostawiając po sobie lukę w rzędzie tych Kresowian, dla których “przedstawienie prawdy historycznej, dotyczącej Kresów Wschodnich RP i ocalenie jej od zapomnienia jest obowiązkiem nas żyjących wobec tych którzy zmarli śmiercią okrutną tylko dlatego, że byli Polakami i kochali swoją ziemię rodzinną – odwieczną ziemię swoich przodków”.

Kresowianie z Klubu “PODOLE” TML i KPW

Śp. Mieczysław HAWLICKI

syn Ziemi Skałackiej, urodzony w 1923 r. w Skałacie, w rodzinie nauczycielskiej. Patriotyczne wychowanie wyniósł z rodzinnego domu, którego głowa, Józef Hawlicki, ceniony pedagog skałackiej szkoły, działacz samorządowy i społeczny, był w 1918 r. obrońcą Lwowa. Z domu, w którym w atmosferze ekumenizmu goszczono na imie-

ninach księdza, popa i nauczyciela religii mojżeszowej, a w trudnych latach próby humanitaryzmu ratowano i ostatecznie uratowano lekarza Żyda, dra Fryderyka Sassa.

Wysiedlony z rodziną z Tarnopola, znalazł się we Wrocławiu i tu już pozostał. Tutaj też pracując zawodowo, ukończył studia ekonomiczne, założył rodzinę i przez 35 lat pracował na kierowniczych stanowiskach we wrocławskiej służbie zdrowia. Kontakt z Tarnopolem i Podolanami utrzymywał uczestnicząc w zjazdach Tarnopolan, do czasu, kiedy podupadł na zdrowiu.

Umarł 25 września 2004 r. Żegnają Go, zachowując w serdecznej pamięci koledzy ze Skałatu, a w ich imieniu

Antoni Gołębiowski